Nr 1(2) 1 STYCZEŃ 1935 ROK II

# Problemy

Dwutygodnik Polityczno-Literacki. cena 30 gr.

*„Mimo zagonów Ordy Polska w XIII-tym wieku nie stała się TATARSKĄ, mimo czynowników carskich nie stała się w XIX-tym MOSKIEWSKĄ. Dziś też, mimo „Legjonu Młodych“, Wincentego Rzymowskiego i towarzyszy nic się tu nie odmieni: Polska w XX wieku nie stanie się SOWIECKĄ“.*

St. V.

# TWARZĄ DO SPOŁECZEŃSTWA

Wstajemy z obecnej rzeczywistości polskiej i chcemy wyjść poza nią.

Iluż powierzchownych entuzjastów, iluż wielbicieli różnych zagranicznych nowinek, — wśród nich nieraz wczorajsi demokraci lub nawet socjaliści, — którzy na odmianę marzyli to o „nadzwyczajnych komisjach“, to o rewolucyjnych trybunałach, to w końcu o czarnych koszulach, — iluż konserwatystów z drugiej strony, co radzi byli nie gdzieindziej, jak tylko w Polsce zakonserwować najdoskonalszy pod słońcem ustrój t. j. ustrój carskiej Rosji, iluż z nich nie mogło zrozumieć, dlaczego Józef Piłsudski nie „zaprowadził“ w Polsce takiego lub innego ustroju dyktatorskiego, dlaczego nawet w obliczu słynnego trybunału stanu i osławionego, a psującego dobre sumienie w działaniu, Brześcia, — nie przekreślił ustroju demokratycznego.

Pokolenie nasze nie może się uskarżać na nadmiar kontaktu umysłowego lub duchowego z zachodem czy też z innemi krajami kulturalnemi. Zato ciągle rozglądamy się za importowanemi hasłami jakby za uniwersalnemi remediami. Nie tylko to. Jeśli któreś z tych importowanych haseł nam nie dogadza, to mamy na nie remedium również importowane. Tak postępują przodujące w opinji dziennikarskiej jednostki, ludzie nieraz o pretensjach intelektualnych. I to stosownie do sympatji. Na rzekomą, czy rzekomo grożącą kiereńszczyznę, doradzano przed laty faszyzm, niektórzy zaś i teraz jeszcze wskazują jako remedjum na faszyzm — radykalizm rodem z Moskwy. Pozwalają się domyślać, że najlepiejby odrazu na zapas wytępić lub obezwładnić wszystkich, którym pochodzenie lub zawód może stworzyć predylekcje do faszyzmu. Inni analogiczną mają receptę na komunistów, znajdują ją zaś w hitlerji, w rasizmie.

Polska, co z takim trudem dźwignęła się z upadku, w ten sposób zadowala teraz swoje ideowe potrzeby. Nie poznaliby nas nasi przodkowie, nasi wieszczowie, ani też pisarze polityczni z XVIII wieku, a zrozumieliby nas chyba ludzie z czasów saskich. Ubóstwo i zapajęczenie umysłowe tych kątów, które wyciera sobą opinja polska, pstrokatość tych nalepek, któremi klajstruje braki ideowe — są bezprzykładne. Dumy jakiejś w upieraniu się przy polskiej tradycji, albo chociażby znajomości jej — mało. Głębszej dziejowej wiary w siebie niemal nie spotyka się. Zresztą przeszłości tej codziennie palimy ogarki. Płacimy jej trybut, a właściwie odżegnujemy się od przeszłości zapomocą różnych obchodów, które i zbyt częste a równocześnie i zbyt oderwane od życia, nie połączone z niem organicznie, wyjawiają naszą uczucio wość. Wiary w przyszłość, przyszłość polską, opartą na znajomości i na możliwości zrzeszenia plemion całej Rzeczypospolitej, a choćby jakiegoś rzutu tęczowego, uto pijnego — nie widać. Planowania przyszłości niema. Tym czasem zaś: volentem fata docunt, nolentem trahunt. Stosunki zewnętrzno-polityczne wciągają nas i wciągać będą w pewne sytuacje, dla których powinniśmy być duchowo dojrzali. Idą może nowe czasy i wydaje się, że zastaną Polskę nie jako Polskę duchowo niepodległą, lecz jako pstry jarmark hasełek importowanych. Główne linje stawania się w polityce wewnętrznej prowadzą u nas od demagogji ku serwilizmowi. Mimowoli przypomina się powiedzenie Stanisława Szczepanowskiego: „Co jest serwilizmem wobec góry, to jest demagogją wobec dołu“.

Dlatego dla całej młodzieży, dla wszystkich ludzi aktywnych społecznie, zdolnych do wiary w przyszłość, — stan t. zw. sejmokracji z przed roku 1926 był taki nieznośny. Odczuwano bowiem, że w wielu wypadkach sejm schlebiał grupom i grupkom zamiast je prowadzić. Parafjańszczyzna i nieodpowiedzialność wyborców odbijała się, a nawet potęgowała, w ich przedstawicielach. Niejeden młody człowiek spluwał, gdy wychodził ze sejmu: nie można wytrzymać tej atmosfery — powiadał ten i ów — atmosfery znihilizowanej, gdzie każdy każdego hamuje, a nigdy nic z tego nie wychodzi. Gdzie każdy gotów zwalczać rząd, walić go o byle co, a co przyjdzie będzie przypadkowym wynikiem sławetnej arytmetyki sejmowej — cóż — odpowiadano mu, — to przecież wola narodu, to przedstawiciele narodu. Kto znał naród, albo przeczuwał go, albo wierzył w naród, winił czasem inteligencję, czasem półinteligentów, czasem ordynację wyborczą. Inni zaś klęli naród cały, bezwładny i tępy, marzyli o nadludziach, śnili o elitach.

W swoich stosunków pom[illegible]jowych demagogja niezupełnie zanikła. Owszem, nieraz nawet rządy używały jej, uważając słusznie czy niesłusznie, że wyprowadza je z kłopotliwej sytuacji. Ale pozornie odwrotne a tak pokrewne demagogji nastawienie — serwilizm, na którym ugruntowane są ilościowo spore doczepki do panujących ugrupowań politycznych, rozkwitł niezmiernie. Głębokie pokrewieństwo serwilizmu z demagogją można wprost palcem pokazać: najwięksi demagogowie z epoki przedmajowej zostali wierni sobie, są teraz największymi serwilistami. To też dla młodzieży, dla pokolenia młodych serwilizm, jakąkolwiek szatę przybiera, jest naprawdę jednakowo wstrętny narówni z demagogją.

Trzeba jednak powiedzieć, że na drodze do nowej Rzeczypospolitej w poszukiwaniu idei polskiej różne hasła, choćby przelotne i niedostosowane do nas, mogły być dla ludzi niewyrobionych, szukających, przystankami i jakgdyby odskoczniami. Dlatego też ludzi, którzy będą budowniczymi nowej Polski, należy szukać we wszystkich obozach politycznych, niezważając na nalepki i szyldy.

Uprzytomnijmy sobie w kilku słowach naszą sytuację polityczną.

Jak już wspomnieliśmy, instytucje demokratyczne zostały w Polsce zachowane, a wszelkie wycieczki przeciw nim, a nawet ostatnie próby korekty, przedsięwziętej z pewnym odcieniem elitokracji, nie znalazły aprobaty Józefa Piłsudskiego. Jest dzisiaj także widoczne, że Józef Piłsudski dążył do autorytetu moralnego, któryby nadał stałość i pewną tężyznę nowo powstałemu państwu i narodowi rozklekotanemu, pozba-

*Dokończenie na stronie drugiej*

KSAWERY PRUSZYŃSKI

# CZŁOWIEK, KTÓRY KOCHA PRUSY WSCHODNIE

Młody narodowiec p. Jędrzej Giertych, wydał niedawno książkę o Prusach Wschodnich. Nie jestto pierwsza książka tego publicysty. Dwa lata temu wydał on dłuższe studjum o naszej polityce narodowościowej na kresach południowo wschodnich, o kwestji ukraińskiej. Stanowisko kolegów p. Giertycha do tego ostatniego zagadnienia zawsze mi się kojarzy ze wspomnieniem sceny w pociągu, na stacji we Lwowie, gdzie dwóch „obozowców“, bo studentów z mieczykiem Chrobrego w klapach marynarek, wyganiało kilka bab wiejskich, starszych kobiet do wagonu bydlęcego... „bo tam to możecie sobie mówić po ukraińsku“, — ze wspomnieniem jak się ci młodzi ludzie poszli potem chwalić tak głęboko „narodowem“ postępowaniem. Ale książka ruska p. Gietrycha stawała już na stanowisku asymilacji państwowej, próbowała nawiązywać do ideologji jagiellońskiej, wyłuskiwała z pieśni ludowej tradycje polsko — „ruskiego“ współdziałania. Ze stanowiska naszego, jak ze stanowiska ukraińskiego, czy poprostu ze stanowiska ludzi, którzy w kwestji ukraińskiej jak i w innych stoją na gruncie zastanego i istniejącego stanu rzeczy, nie była to książka wystarczająca. Ale w obozie jakim była wydana, w obozie liczącym na setki takich „narodowców“ jak ci bojownicy z lwowskiego pociągu, taka książka była **jednak** wielkim postępem, była **jednak** zbliżeniem do rzeczywistości. Byłoby źle, gdyby pogląd na sprawę ukraińską w Polsce ukształtował się wedle wskazań Jerzego Giertycha, byłoby jednak **bardzo dobrze**, by w potężnym obozie narodowym ukształtował się wedle nich. W chwili wydania tej pożytecznej pracy, został p. Giertych usunięty z Ministerstwa Spraw Zagranicznych jako endek. Niezawodnie MSZ miał swe niedocieczone a głębokie racje. Poglądy p. Giertycha były b. zbliżone do poglądów na sprawę ukraińską z prorządowej "Drogi," ale może nie były zbliżone do pacyfikacji.? Usunięty, zabrał się p. Giertych do innej, prawie a powiedziałbym: epokowej pracy. Oto na łamach endeckiego tygodnika „Myśl Narodowa“ wszczął dyskusję o Traktat Ryski. Pierwszy z publicystyki endeckiej nie chwycił się dywersyjnego „argumentu“ o gminach w brasławszczyźnie, któremi endecy stale osłaniali historję oddania gdzieindziej całych powiatów, pierwszy targnął się na zasadę „Mińsk — to wrzód na ciele Polski“, słowem na najświętsze kanony endeckie. Przez kilka następnych numerów pisma mieliśmy budujący widok polemiki Giertycha z samych artifexem Traktatu, Stanisławem Grabskim. Cóż to był za wspaniały pojedynek zirytowanego, rozżalonego i bezsilnego Grabskiego, rozkładanego na ziemię za każdym kolejnym artykułem Giertycha! Po tej polemice p. Giertych został jednak uznany przez endecję za takiego samego **niebezpiecznego** sanatofila, co przez ministerstwo za endeka. Podzielił los coraz liczniejszej w Polsce, sekty politycznych heretyków.

Polityczny heretyk wydał obecnie nową książkę tym razem o Prusach Wschodnich.

Jestto kraj który autor kocha i zna. Kocha jako narodowiec, człowiek tradycyj Popławskiego i Dmowskiego, zna jako działacz plebiscytowy i jako urzędnik konsularny z tego terenu. Zjeździł go kolejami, samochodem, końmi, kajakiem, zszedł na piechotę. Przez te lata wędrówek i pracy, przez te dni pisania, myśl Giertycha zaprzątnięta była tylko jednem: jak ten kraj spowrotem uczynić polskim?

Pokost pruski jest głęboki na metry. P. Giertych usiłuje go zdrapać także na metry. Czepia się więc rozpaczliwie tego wszystkiego, co w Prusach jeszcze może ocknąć zamierające szczątki polskości. Ileby to się dało zrobić, rozumuje, gdyby w takim Elblągu, tu wykupić sklep, tam zbudować dom polski, sprowadzić teatr, tych wyprzeć, tamtym dać kapitał. Narodowe oblicze kraju, rzecz tak wielką, redukuje Giertych do posunięć i drobnych i sztucznych. Redukuje do nich, może bo one same do nich się zredukowały, bo są to ostatnie — stwierdza Giertych — szczątkowości niegdyś bujnej polszczyzny kraju.

Bo Giertych zna to wszystko zbyt dobrze aby się łudzić, aby zaprzeczać oczywistości. Giertych stwierdza wyraźnie, że w Prusach Wschodnich germanizacja szła *innemi drogami* niż w Poznańskiem i do *innych* doszła też wyników. Nie było germanizacji językowej. Była natomiast silna tradycja państwowa kraju, wiążąca ze sobą całą ludność. Dziś, w 15 lat od powstania państwa polskiego, o czterysta kilometrów od Warszawy rozpoczyna się obszar kraju gdzie ludność mówi po *polsku* a wyznaje patrjotyzm państwowy *pruski*, żałuje *monarchji pruskiej* żałuje *Hohenzollernów*. Kraj w którym się to dzieje, powiaty w których mieszka ta ludność, sąsiadują z Tanenbergiem i Grunwaldem. Czyż może być stwierdzenie dla narodowca, dla młodego „endeka“, bardziej przykre?

Owszem, może być, jest. — Oto wpradzie na terenie Prus Wschodnich nastąpiły obecnie przemiany. Niema Hohenzollernów. Zniknęło dawne państwo pruskie, jego separatystyczna tradycja, jego odrębność krajowa w łonie Rzeszy niemieckiej. Więc kruszą się i podstawy duchowe tych Polaków którzy byli *gente Poloni, natione Borussi*? *Nie*. Bo oto w miejscu dawnej idei pruskiej stanęła nowa młoda idea germańskiego, nordyckiego rasizmu. Młode pokolenie polskie ze wsi pruskiej stanęło za nią murem. Nie wierzylibyśmy temu, gdyby nie pisał o tem ktoś co tak dobrze rzecz zna, ktoś, komu myśl o wyrzeczeniu się na zawsze Prus Wschodnich jest tak nienawistną, jak każdemu z młodego endeckiego pokolenia. Ale to mówi Jędrzej Giertych w tem pokoleniu i obozie czołowy znawca zagadnienia.

Udział młodzieży polskiej z Prus Wschodnich w ruchu hitlerowskim jest wprost *żywiołowy*. I Giertych mówi nam o całych zebraniach szturmówek na których językiem potocznym jest język polski. Wszystko w kraju gdzie był Grunwald. —

* * *

Byłoby bardzo źle, gdyby rozważania p. Giertycha ograniczyły sie *tylko do Prus Wschodnich*. Jest źle, że nie ujął przykładu Prus Wschodnich jako jeszcze jednej *formy współżycia* dwòch narodów poza hakatyzmnem i pacyfikacjami.

Niemcy próbowały germanizacji językowej i narodowej na trzech innych terenach ziem Polski. W Poznańskiem, na Śląsku, na Pomorzu. Przegrały ją *wszędzie*. Niemcy pojednały z państwem nietylko niemieckiem, ale pruskiem, całe rzesze polskiego ludu, ale w Prusach. W 1920 roku powstańcy śląscy walczący o polskość Katowic mówili po niemiecku. W tym samym roku 20 biorący udział w plebiscycie mazurskim mówili po polsku, głosowali za Niemcami: Teorja endecka, że o narodowości stanowi język, waliła się w gruzy i na Śląsku i na Mazurach. Siłą spajającą ludność obcą okazał się nie język, nie kultura, a najpierw wspólna, umiejąca się ogarnąć, sięgnąć ponad językowe różnice, idea.

Są to uwagi które p. Giertychowi kiedyś się jeszcze przydadzą. Są to nauki bardzo bolesne, bo oznaczające zwycięstwo Niemców na pojezierzu mazurskiem, kraju W a r m j i, kraju z którego wzgórz widzi się morze. Ale klęski, choćby najboleśniejsze, mogą być zarodkiem zwycięstw i sukcesów gdzieindziej, tam gdzie szale jeszcze się ważą. P. Giertych winien swe wnioski pruskie przenieść na inny teren. Może to jeszcze nie będzie to, co trzeba, ale to będzie duży postęp w stosunku do tego co jest.

M. JÓZEF OGÓREK

# PANI DULSKA POLSKIEJ „FILOZOFJI"

## (NIEDYSPOZYCJA p. HULKI-LASKOWSKIEGO)

Wiedzieć, rozumieć, pojmować — to przyrodzone czynności rozumu ludzkiego. U krytyka literackiego — zwłaszcza wykazującego tak zdecydowane, jak u pana Hulki-Laskowskiego, intencje nietylko informowania, powiadamiania o nowinkach i dziwach, jakiemi bawi się współczesny nam globus intellectualis, ale i działania nań w kierunku jak najprzychylniejszego ich i dogmatycznie-naiwnego **przyjęcia** — u takiego zwłaszcza, i takiemi kierującego się intencjami krytyka, ciekawić może przedewszystkiem system jego myślenia, a więc leżąca u podstawy jego „filozofja"! Wyrazu tego, oczywiście, biorąc go w cudzysłów, nie używam na oznaczenie filozofji bez cudzysłowu, a więc tej szlachetnej i ascetycznej pracy nad uwolnieniem się od wulgarnej prędkobliskości i „poznania" **Prawd ostatecznych**. To raczej ta namiastka filozofji, jaką miał na myśli Brzozowski, pisząc — w ogłoszonych 1920 r. w „Krokwiach" listach, — że "Idee" jego były „bezwzględnem rzuceniem rękawicy pozytymizmowi, naturalizmowi, ewolucjonizmowi", a w liście, pisanym na schyłku życia postanawia podjąć nowy na nią atak i „uderzać w najbardziej umiłowane fetysze ideologji radykalnej".

Otóż ponieważ tego właśnie typu fetyszyzm radykalistycznie-naiwnego myślenia występuje z całą, kliniczną wprost okazałością pięknie rozwiniętej choroby, w strzepniętym z pióra uczonego pana Hulki-Laskowskiego drobiazgu „Tragizm kultury czy kultura tragizmu" („Wiad. Lit.", 23. XI. 1924) — z okazji tego niewątpliwie, „zdarzenia" w kulturze naszej, jakiem jest suwerenne i autorytatywne odżywienie jej witaminami kolportowanej przez „Wiadomości Literackie" **„najnowszości"** nowinkarskiej, — chcę poddać małemu egzaminowi to właśnie zapalczywe elogjum współczesności, a zwłaszcza ten system myślowy i filozofję, jaka tkwi u jego podstawy.

### Kultura tradycyjna a snobizm najnowszości.

Abstrahując już od tego, że zarzut dowolności przeciwstawienia kultury „tradycyjnej" — kulturze nowoczesnej, jaki ks. Krzesińskiemu stawia Hulka-Laskowski, dałby się obrócić raczej przeciwko niemu samemu, mianowicie przeciwko jego wysoce arbitralnemu przeciwstawieniu tego, co — ukazem terminologicznym, mającym charakter wysoce nielojalnego **argumenti basilici** — określa jako „stare mity, które są już tylko mitami i niczem więcej" przeciwstawia „wspaniałemu, cudownemu, boskiemu tragizmowi naszych czasów!". Abstrahując już od niekonsekwencji i galimatjasu, jaki sprawia określenie tej tak chwalonej przez siebie kultury tragizmu, jako związanej „z. . . hedonizmem" — należy stwierdzić, że niekonsekwencja ta przypomina trafnie swego czasu przez S. I. Witkiewicza podkreślony fakt, że tylko wyjątkowo **udać** się może przedstawienie poglądu filozoficznego w krótkim artykuliku, bo „tylko bardzo mądrej głowie dość 250 wierszy!" — to jednak, z drugiej strony, nie jest to dowodem zbyt mocnej głowy u p. Hulki-Laskowskiego, jeżeli, przelatując po szczytach natchnienia w końcowem, retoryczno-wykrzyknikarskiem elogjum nowowoczesności i snobistycznie pojętej najnowszości — zapomina co o niej powiedział na początku... swoich bodajże nawet... niecałych 250 wierszy. Tu by się chciało do Witkiewiczowego aksjomatu inteligencjometrycznego... dodać drugi: „tylko b. słabej głowie... itd".

Dalej. Pan H.-L. zarzuca ks. Krzesińskiemu sui generis petitionem principii... aksjologiczną, pisząc: „Nowoczesna kultura jest zdaniem autora, materjalistyczna. To jest niejako teza, którą należy potwierdzić, aby następnie zdeprecjonować tę... kulturę...„ —. Ależ, insynując ks. Krzesińskiemu w ten sposób brak dobrej woli i sumienności badawczej w analizowaniu kultury nowoczesnej „z zamiarem z góry wiadomym: ma zostać potępiona" — p. H.-L. postępuje w sposób gorszy nawet od tego, jaki — zresztą niesłusznie — insynnuje recenzowanemu przez siebie, a raczej dekapitowanemu autorowi: **przezwanych** przez siebie, sposobem, wyżej już scharakteryzowanego **kompromitacjonizmu terminologicznego.** „Mitów" kultury katolickiej wogóle nie charakteryzuje ani nie analizuje, tylko je **denuncjuje**, twierdząc, że jedyną ich funkcją jest „tak brzydko" spotwarzać i rzucać oszczerstwa na umiłowaną przez p. H.-L. kulturę nowoczesną. W ten sposób łatwo już doprowadzić p. Hulce wiernego a naiwnego czytelnika do przekonania, — że, mianowicie, broniony przez ks. Krzesińskiego system kultury jest właściwie tylko systemem oszczerstw, zawadą dla nowoczesnej kultury — i kwalifikuje się na śmietnik, skoro już nie może w nim, **bez** przymieszki słabości ludzkiej i naturalnej ułomności — być zrealizowanym bez reszty i w stu procentach „... rzeczywistość i prawda taka sama jak w „Dziejach apostolskiah", 4. 32 s q.

Otóż tu i dalszy niepiękny chwyt polemiczny i podrywka: **abstrakcyjna maksymalizacja** stawianych zwalczanemu systemowi kultury zarzutów — przy równoczesnem, również **abstrakcyjnem** (t. zn. **pomijającem** całą konkretną, zrośniętą i przeplecioną z całą życiową **pełnią,** totalnością wszystkich, od najbardziej do najmniej **udanych zrealizowań**) — i nielojalnem, przez to, przedstawieniu **własnego** systemu kultury od strony panegirycznie wybielonej i **in abstracto** — „udoskonalonej". Ale takie popisywanie się własnym systemem kultury, który rzekomo ma być bez „skazy"... to jest paskudny i niepłodny dmiwierżyzm filozofikoidalny, właśnie tak „godny", jak... Zapolskiej „Kobieta bez skazy": żeby nie przyszło jeszcze komu nazwać p. Hulkę-Laskowskiego „Panią Dulską polskiej filozofji", a raczej... pseudofilozofji. Tak jak już jednego z takich panów, tamtego roku, (J. E. Skiwski — J. N. Millera) nazwano „Mniszkówną filozofji polskiej". Ejże, panie H., myślałem, że miałeś pan szczytniejsze aspiracje. Skiwski, który także bynajmniej, ale to bynajmniej zwolennikiem „katolicyzmu zakrystji" nie jest — analizował te sprawy jednak na cokolwieczek **wyższym** poziomie. Zapewne dlatego nie wytrzymali dłużej w pseudonaukowej atmosferze „Wiadomości" — ani on, ani Irzykowski.

### Słonimski jest nudny.

W tym względzie ogromnie charakterystyczne jest, że ankieta „W. L" przyniosła głosy, wyrażające zadowolenie, że przestano tam drukować „wreszcie" Irzykowskiego — i że, wobec tak szczęśliwego sprawy tej załatwienia — niema już w tym szlachetnym organie ani cienia „obłudy". Oczywiście, jeżeli ktoś jest nastawiony **nienaukowo,** a zresztą, — co tu dużo w bawełnę owijać, wręcz niepoważnie — wtedy chodzi mu w każdej dyskusji tylko o jednostronne i t. zw. „nienużące" wypowiedzenie się w ten i taki tylko sposób przy którym, oczywiście, żaden, — powtarzam: **żaden** — wymóg polemiki, już nie nawet naukowej, ale poprostu normalnie — kulturalnej i **obowiązującej** między ludźmi **uczciwymi** spełniony nie będzie: bo uczciwość myśli krytycznej będzie zawsze **nużąca,** — i z mniejszym wysiłkiem można **nadążyć** za **wygadywaniem się** — choćby najświetniejszem stylistycznie — niż za żmudnem, trudnem i... nudnem śledzeniem dróg rozwojowych kultury. Ale, z tą **nudą,** to jest też rzecz mocno względna: „Voilà un livre ennuyeux" powiedział kiedyś Barrès o pewnej książce... w sensie **pochwały.** Bo każda rzecz solidniejsza i wartościowa, — **wymaga** pewnego wysiłku. A z tą nudą, to jest tak: oczywiście, jeden i drugi feljeton Słonimskiego może mnie ubawić, zwłaszcza, jak

---

*Dokończenie ze strony 1-ej.*

# TWARZĄ DO SPOŁECZEŃSTWA

wionemu horyzontów dziejowych, niemającemu stałych mierników opinji. Potrzebne były i są ramy nietylko z powodu wpływów dawnych zaborów, lecz wobec ciągle nowych wpływów, idących z dawnych państw zaborczych. Nasz ogół, zapatrzony w chwilę, nie wytworzył opinji, którąby znalazła wyraźny i jednoznaczny stosunek do przeszłości i tradycji, ani nie próbował ustalić celów naszej polityki państwowej. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że Józef Piłsudski jest jakby odgrodzony od teraźniejszości także i przez to, że odczuwa się w nim sporo pogardy wobec ludzi. Niema w tem może nic dziwnego. Poznanie bowiem, jak nieraz potrzeba środków odmiennych od samego celu, aby prowadzić doń społeczeństwo bądź niesforne, bądź bezmyślne, bądź chwili oddane, a w każdym razie nierozumiejące, jak ciężko jest stać na straży dziejowej, świadomość tego może przynieść dużo goryczy i trucizny. Jednak Józef Piłsudski posiada niespotykanie żywy stosunek do tradycji polskiej. A jeśli chodzi o wyżej wspomniane, importowane hasła, o różne dyktatury, faszyzmy i inne programowe giovinezzy, to ma do nich stosunek człowieka doświadczonego, starego, takiego co niejedno przeżył i widział, a także dzięki dziejowemu dalekowidztwu niejedną, jakoby ważną dla współczesnych rzecz przeoczył. Jakgdyby sobie pomyślał: ten huczek dyktatorski potrwa może dziesięć lat, a może trochę dłużej, ale pocóż na stałe z tem wiązać Rzeczpospolitą, poco ją narażać później na wstrząs. A ta cała udarna „giovinezza", gdziekolwiek jest, ustabilizuje się i zapewne nie zechce permanentnej giovinezzy, ani permanentnej komendy.

Jaką *będzie* Polska, tego nie może powiedzieć nam nawet Józef Piłsudski. Na to sami życiem naszem musimy odpowiedzieć.

I tutaj nasuwa się pytanie, jak się ma rzecz *z duchem* naszych instytucyj i z duchem, jaki panuje w społeczeństwie, i co przeważy, czy prawdziwy demokratyzm, t. j. maximum dobrowolnego i chętnego współdziałania, czy też demagogja i serwilizm.

Jeśli chodzi o tak pojęty demokratyzm, to nikt nie będzie zaprzeczać, że jest pożądany, tylko, że nie każdy wierzy w jego ziszczenie u nas, a co ważniejsze nie odpowiada on wielu nałogom politycznym i wielu tendencjom i obyczajom osób politykujących, które już zasmakowały w innym stylu. Warto w tem miejscu wspomnieć, jakie metamorfozy przechodziły kraje, dziś uznane za wzorowo demokratyczne. I tak np. moralność podatkowa w Anglji uchodzi za wzorową. Wytworzyła się na tle decentralizacji i autonomji podatkowej. Jeszcze w połowie ubiegłego wieku po wprowadzeniu podatku dochodowego kanclerz Gladstone w mowie swej przedstawił rzecz nie do pomyślenia. Przy porównaniu wartości pewnego objektu w Londynie, zeznanej jako podstawa podatku, z oszacowaniem zaprzysiężonem dla sumy ekspropriacyjnej, celem przeprowadzenia nowej ulicy, okazało się, że zeznana wartość była dziewięć razy mniejsza od oszacowania zaprzysiężonego. Rzecz dzisiaj w Angli nie do pomyślenia. A jednak opinja i wprzężenie samego społeczeństwa do ściągania podatków zrobiły swoje.

A teraz dla odmiany posłuchajmy jakie robimy wrażenie na obcych i to Anglikach w obecnej chwili: Niedawno jeden z ultrakonserwatywnych dziennikarzy angielskich, pisząc o Polsce, podkreślił, że armja polska jest prawdziwie demokratyczna w najlepszym sensie. Rozkazy znajdują zrozumienie u żołnierzy i są wykonywane chętnie, a oficerowie troszczą się o żołnierzy, umieją się z nimi obchodzić, umieją wydawać rozkazy. Dlatego armja polska jest prawdziwą siłą na kontynencie — powiada ów dziennikarz. Prawdopodobnie jest tak, przynajmniej pragnęlibyśmy, aby tak było. Ale czyż nie będzie jeszcze silniejsza armja, za którą stoi całe społeczeństwo w równie dobrem lecz jeszcze głębszem znaczeniu demokratycznem.?! Zdaje się, że każde nowoczesne państwo dąży do jaknajwiększego dobrowolnego współdziałania społeczeństwa z rządem i z kierownictwem polityki. W niektórych państwach, w Rosji i Niemczech, rozpiętość między środkiem a celem jest zbyt wielka, tak wielka, że prawdopodobnie nietylko żyjące pokolenia nigdy nie ujrzą demokracji, ale, jak się nieraz wydaje, oduczone od niej, przestaną jej pragnąć. Pytanie jest zatem, czy takie hurtowne i ryczałtowe „wychowanie" wogóle może dopiąć celu, który sobie rzekomo stawia. A tembardziej czy wydajne jest w ostatecznym rachunku dla społeczeństwa takie nieuznawanie różnicowania, neglegowanie lub przekreślanie indywidualności jednostek czy grup, nieuznawanie różnych dróg do tego samego celu, które chociaż dążą poprzez ścieranie i krzyżowanie się, jednak jaknajmniej niszczą, gdyż u podstawy swej zawierają dyscyplinę i poszanowanie innych opinij i tendencyj. Wydaje się, że nikt nie znalazł tak stosownej formuły dla tego tajemniczego świata demokracyj zachodnich, które stanowią dziedzictwo humanizmu i chrześcijaństwa oraz starożytnego prawa i swobody tych ludów, jak Hegel w swej „dialektyce". Wykazał on, że każda siła psychiczna, społeczna i duchowa (idea) utrzymuje się dzięki zmaganiu się z drugą, dzięki takiemu ścieraniu się, które ma formę jakgdyby dialogu, dyskusji. Jedna strona nie podkopuje drugiej, nie niszczy, lecz wyzwala z niej wciąż nowe siły. Podnosząc drugą, podnosi siebie. I wydaje się, że nic nie jest bardziej przeciwne temu ujęciu niż walka grup społecznych, pojęta w ten sposób, że jedna ma drugą unicestwić.

Zadania demokracji w Polsce muszą być rozszerzone i na stosunek do grup narodowościowych, a nasze pokolenie, które będzie odpowiadało za przyszłość tej wspólnej organizacji państwowej, tej „Rzeczy pospolitej" musi odrazu nietylko przestać ignorować te grupy narodowe, musi je przedewszystkiem poznać, musi spopularyzować to poznanie. Co się wie naprawdę chociażby o tak ważnych dla naszego państwa grupach jak ukraińska i żydowska, oprócz wrogich i niechlujnych ogólników i wysnutych z nich haseł istotnie antypaństwowych, kolportowanych przez takie organy jak Kurjer krakowski i Gazeta warszawska?!

I takie są jeszcze myśli młodego Polaka, myśli „nowoczesnego Polaka" o demokracji w Polsce:

Może te wielkie organizmy państwowe, będące w dogodnem położeniu geograficznem, nie muszą z siebie wydobywać maximum wysiłku i może sprawa demokracji dlatego nie jest dla nich naprawdę tak pilna, tak nagląca jak dla Polski. Tylko potężny, a zatem tylko dobrowolny wysiłek może utrzymać Polskę. Polska nie może rozwinąć się w skali światowej, nie może zatem istnieć, jeśli nie wydobędzie z każdego ze swych obywateli, z każdej z grup, sił dobrowolnych, sił zróżniczkowanych i entuzjastycznych. Dobrowolna dyscyplina, talent i entuzjazm — oto hasła Rzeczypospolitej, a nie starojezuickie: słuchaj, jakbyś był trupem — tamquam cadaver esses.

Apel do najlepszych sił, to nie apel do stabilizowania przy korycie, nawet nie apel do kandydatów na patentowanych władców. Najlepsi robią swoje i odchodzą. Nie obcinają kuponów. Jeśli dostają nagrody, jeśli je przyjmują, to nigdy nie biorą w nagrodę władzy nad społeczeństwem. *St. V.*

będę zmęczony i nie stać mnie będzie na przeczytanie czegoś poważniejszego. Ale przeczytanie p a r u s e t stronic Słonimskiego byłoby o wiele bardziej męczące i... nudne, niż n. p. 600 stronic prozy Rickerta czy Corneliusa. Znam te sprawy dobrze z własnego doświadczenia i rozwodzić się nad niemi nie myślę, bo każdemu człowiekowi jakotako w sprawach kultury kompetentnemu są te sprawy równie dobrze znane i **bezpośrednio ewidentne**, — a kto jest znów niekompetentny, ten i tak nic z tego nie zrozumie, bo „trzeba mieć mózg na kręgosłupie, a nie klatkę na różnokolorowe ptaszki" — jak słusznie kiedyś S. I. Witkiewicz przypomniał, charakteryzując jednego z ludzi, o których powiedział Brzozowski, że, **nie są** zdolni myśleć, tylko **feljetonizować**.

Nie chciałbym się zbyt długo zatrzymywać nad feljetonistycznem i niepoważnem — **mimo spełnienia** z e w n ę t r z n y c h **wymogów** akademickie go wykładu — tego „fornehmer Ton in der Philosophie" co tak oburzał Kanta — ujęciem sprawy przez Hulkę-Laskowskiego.

**Przejść do interpretacji psychologicznych.**

Otóż p. H. L. wylicza cały szereg bohaterstw, polegających na z w i ą z a n i u s i ę c z ł o w i e k a z m a s z y n ą, i bohaterstwa te traktuje, niby dowody w y ż s z o ś c i **tej** kultury, którą uważa za wyraz „postępu". Tak n. p. podaje przykład telegrafisty, który na „Titaniku" siedział do ostatniej chwili przy swoim aparacie, odmrażając nogi, i czekając śmierci.

**Kompleks lorda Jima.**

Otóż, po pierwsze, tego typu bohaterstwa nie są bynajmniej, ale to bynajmniej nie wyższe od tych, jakie znamy z poprzednich epok kultury. Po drugie, — nie należy o tem zapominać — ten typ **związania** s i ę z m a s z y n ą może mocno osłabiać indywidualną z d o l n o ś ć m y ś l e n i a i f a n t a z j i — a przecież t e m dopiero można mierzyć stopień bohaterstwa: a nie rezultatem **samym** i nie zawisłym od psychiki bohatera. I tu wyłania się, w całej swojej **jadowitości** — kompleks **Lorda Jima**. Bo jeżeli lordowi Jimowi **fantazja** nie pozwoliła wytrwać na statku, i jeżeli ten brat starszy Kordjana nietyle może śmierci się nastraszył samej, co **obrazu** śmierci — to jasne jest, że wzmiankowany telegrafista nie miał fantazji Kordjanowsko-Jimowskiej, ergo nie miał do przezwyciężenia t a k w i e l k i c h trudności, ergo nie był tak wielkim bohaterem... „. jakby nim był Kordjan—Lord Jim, **gdyby** bogactwo swojej psychiki opanować i zdyscyplinować **był potrafił**...", wpada mi w tok wywodów tryumfalnie uśmiechnięty p. Hulka. Przedwczesny tryumf, panie łaskawy! Bo, po pierwsze, na Olimpie geszefciarstwa literackiego „Wiadomości Literackich obowiązuje technika przemilczeń a skoro jej **już** stosować nie można mnie... **jeszcze** można, ponadto odpowiada się c o n a j w y ż e j na poziomie... Słonimskiego, dajmy na to. A, po drugie, mam mocne wątpliwości, czy — gdyby nawet reguły geszefciarstwa literackiego nie stały na przeszkodzie i p. Hulce **wolno** było odpowiadać — wogóleby **potrafił**. W każdym razie, dla dobra samej s p r a w y zresztą raczej, niż, żeby mi freblówkowe i przyucza nie „myściciel" typu wiadomościo-literackiego miało sprawiać szczególną przyjemność — jestem gotów, dla uniknięcia nieporozumień, udzielić p. Hulce paru wyjaśnień, typu łopatowego, w ograniczonej ilości.

**Jak ten Hulka przeinacza**

A więc, obok problemu Lordo - Jimo - Kordjanowego — wyłania się, ad b o h a t e r s t w o m e c h a n i c z n e, jeszcze *kwestja kapitana „Titanica"*.

Jak wiadomo, on sam katastrofę spowodował, chcąc przedostać się możliwie najkrótszą drogą i w czasie „rekordowo" prędkim do Ameryki.

Dlatego, porwany wyhodowaną w wieku „postępu" — rekordomanją, zlekceważył niebezpieczeństwo ze strony gór lodowych: co *było właśnie sztywno - mechanistycznem* myśleniem i wiarą w „postęp". Kiedy tedy już okręt jego tonął, popełnił samobójstwo do łodzi ratunkowej się wciągnąć nie dał. Ale chyba p. Hulka-Laskowski, nie zechce twierdzić, że samobójstwo tego kapitana **wyżej** stoi od całego życia ekspijacyjnego trudu i męki, wysiłku kulturo - i państwo-twórczego — Lorda Jima wśród malajów,

Może kto powie, że ucieczka z kraju białych dla kapitana Titanica możliwie najlepszej dowodzi orjentacji — i, że wykonać mógł ją li-tylko w formie samobójstwa: odpowiem, że jest to właśnie sztywno-mechanistyczne nastawienie cywilizacji, której możliwość **odrodzenia** się moralnego u człowieka jest właśnie tak „zrozumiała", jak to w powieści swojej „Rwacz" — wykazał Ilja Erenburg

I ona kończy się samobójstwem: — a że to *nie konstrukcja dowolna* — tego dowodem *trup Majakowskiego*,... no, i miljony różnemi, ale zawsze postępowemi i mądrze *planowemi* metodami w śmierć wepchniętych Ukraińców i innych przeciwników bolszewizmu.

To, zapewne, nie powstrzyma p. Hulke od mniemania, że „zupełnie nonsensowna, bo tylko **postęp** hamującą jest tęsknota za taką właśnie kulturą, jaką przedstawia kultura katolicka".

Ale my — innych na tę sprawę jesteśmy poglądów. I przy nich pozostaniemy.

**GŁOSY CZYTELNIKÓW**

# TEROR I KONTRTEROR

Telegramy doniosły o zamordowaniu w Leningradzie Kirowa, dostojnika i sowieckiego weterana rewolucji.

W kilka dni później telegramy doniosły o licznych aresztowaniach i o wykonaniu 66 wyroków śmierci. Aresztowania i wyroki trwają...

W kilka dni później... Bez śledztwa i sądu, bo niemożliwy sąd i śledztwo w przeciągu kilku dni.

Przecież może to nieprawda. Trzeba być objektywnym. Musimy sprawdzić. Może to wymysł burżuazyjnych agencyj i prasy. Może naganka na Sowiety!?

Zaglądamy tedy do wychodzącego w Polsce komunistycznego „Ilustrowanego Tygodnika".

Niestety. Rozczarowaliśmy się. Prasa burżuazyjna miała rację. W artykule wstępnym tegoż „Tygodnika" p.t. „Strzał w Leningradzie" czytamy: „...na głowy wspólników Nikołajewa, kontrrewolucyjnych terorystów spadł natychmiast miecz proletarjackiej dyktatury. W tym samym dniu, gdy masy Związku chowały Kirowa, w Moskwie rozstrzelano 66 białogwardzistów, uczestników terorystycznej organizacji".

Z słów tych przebija się nuta zadowolenia. Sadystyczne zadowolenie, ni cienia zakłopotania.

Autorzy tego artykułu, wyznawcy idei komunistycznej w Polsce, skarżą się na teror w Polsce, Brześć, Bereza — stały konik do ujeżdżania naiwnych.

Niewątpliwie Brześć i Bereza pozostaną ciemną plamą na sumieniu obecnego regimu, lecz dla wykazania, jak bezczelną i obłudną jest argumentacja obrońców „wolności proletarjatu" z „Tygodnika" i innych podobnych piśmideł, posłużymy się nie bardzo co prawda wersalskiem zestawieniem, ale zato przekonywującem.

Pytamy: czemże jest Brześć i Bereza wobec strasznej egzekucji w Leningradzie dokonanej na „66 terorystach"? Podziwiamy w całej pełni spokój, jaki cechował przedstawicieli Rządu Rzplitej, po zamordowaniu ś. p. min. Pierackiego.

Spokój godny majestatu Najjaśniejszej Rzplitej,

Tu przechodzimy do zestawienia. Sposób zareagowania bolszewików po zamordowaniu Kirowa, znamienny jest dla tchórzy.

W taki sposób reagują tchórze, drzący przed motłochem. Rozumiemy na tle tych wydarzeń w zupełności p. M. Zdziechowskiego, jego poglądy wypowiedziane w broszurze p. t. „Wpływy rosyjskie na duszę polską"—„orężem bolszewizmu, który mu dał tak szybkie i łatwe zwycięstwo, główną jego siłą był motłoch" i dalej: „Motłoch ten rozpętawszy i nie będąc w stanie nad nim zapanować, drząc przed nim, a innego oparcia nie mając, musiał rząd bolszewicki codziennie nowe jakieś „panem et circenses" wymyślać aby tłum zabawiać".

Sycą nim motłoch już lat 15 w imię sprawiedliwości proletarjatu i wszechludzkich ideałów.

Tylko, że „panem et circenses" teraz, po latach 15, od zwycięskiej rewolucji, w oparciu o miljonową armję, świetną policję i całą administrację wraz z aparatem komunistycznym, dowodzi, że strach przed motłochem nie jest spowodowany gorączką rewolucyjną rozagitowanych tłumów!..

Tak Sowiety budują nowoczesnego człowieka...

Po 15 latach! Zasobni w armję, policję, administrację — mordują ze strachu bezbronnych ludzi.

*Władysław Gamoń.*

**Treść poprzedniego (1) numeru:**

W poprzednim n u m e r z e „Problemów" art. red. „Problem młodych", *A. M. Bocheński* — Rusyfikacja Polski współczesnej, *Piotr Dunin Borkowski* — O samorząd narodowy Małop. Wsch., *Mieczysław Pruszyński* — Faszyzacja uniwersytetów, *Aleksander Bocheński* — Za plecami polskiej armji, *Fr. Czerwiski* — Przegląd prasy, *Karol* — Feljeton akademicki, *E. K.* — Dzieje szantażu prasowego.

**„Civitas academica".**

Ukazał się nowy numer krakowskiego czasopisma akademickiego, wychodzącego już rok piąty p. n. „Civitas Academica", ideologją zbliżonego do „Myśli Mocarstwowej" redagowanego przez p. Kirchmajera. Wśród szeregu dobrych i ciekawych artykułów dotyczących współczesnych zagadnień akademickich (m. in. p. K. Pruszyński kończy dyskusję na temat „Myśli Mocarstwowej" wywołaną artykułem p. X. (W. A. Zbyszewskiego) w „Czasie",) na podkreślenie zasługuje świetny w treści i formie artykuł p. *Tadeusza Jaworskiego* na temat opłat akademickich.

# Pijcie Arcyksięcia PIWO: — To rada lwowskiego „ZRYWU"!

Lwowski organ „Legjonu Młodych" „Zryw" poświęca w swym ostatnim numerze kilka artykułów zionących ogniem rewolucji przeciw *rr*eakcji, h*rr*abiom, he*rr*bowcom, konse*rr*wie, a*rr*ystok*rr*acji i t. d. woła o przewrót, wywłaszczenie, i posady w kołchozach. To na naczelnych stronnicach. Na ostatniej idzie *sążniste* ogłoszenie... Browarów Arcyksiążęcych z Żywca. Znakomite, powiada Legjon Młodych, piwo.

Otóż, o ile nam wiadomo, to:

1) przedsiębiorstwo browarnicze, takie jak Zakłady Żywieckie, jest przedsiębiorstwem kapitalistycznem, i wielkokapitalistycznem! W niejednem piśmie szczerze lewicowem czytaliśmy już, że napoje alkoholowe służyły panom do rozpajania ludu, aby zapomniał o swej niedoli. Nie pamiętamy już czy to Marks, czy to ze względu na rosyjskość jeszcze legjonowcom milszy Bakunin, pisał, że „karczma jest tem dla ciała ludu, czem kościół dla ducha". Ogłupia. Ale w karczmie piją nietylko wódę. Także i piwo. Nawet arcyksiążęce piwo.

2) właściciel tego browaru nie jest znienawidzonym pasożytem hrabią, nie jest nawet księciem ale jest *arcy*księciem, a nawet, o zgrozo, Habsburgiem! Kiedy indziej Legjon Młodych pisałby o nim: „członek zaborczej dynastji, zdegenerowany arystokrata, kosmopolita tuczący się na polskiem mieniu, kuzyn Fryderyka - Wieszatiela, brat zdrajcy Wyszywanego, potomek katów Polski". Ale, teraz Arcyksiaże *dał pieniążki*, więc arcyksiążę jest caca. Pijcie piwo arcyksięcia!

* * *

Możnaby zrobić parafrazę znanego wiersza Tuwima o żydowskich ogłoszeniach w antysemickiej „Gazecie Warszawskiej:

Dość wiele rozumiem i wiem jak na [wieszcza
Lecz wytłumaczyć mi proszę
Dlaczego ta cała komuna zamieszcza
Tak wiele burżujskich ogłoszeń?

Dlaczego na pierwszych stronicach [gazety
Książeta to zbóje i dranie,
Lecz gdy sypną złotem — to gną [się walety:
„Proszę Księcia... Książę raczy...
[Jaśnie Panie!!"

E. K.

# DZIEJE KILKU ŁEZ LENINA

W jednem z pism francuskich znajduje się artykuł Victora Hox'a, opisujący jego spotkanie z Leninem, lat temu mniej więcej trzydzieści, w dniu Bożego Narodzenia.

Lenin przebywał wówczas w małej mieścinie finlandzkiej Kouokolla, u swego przyjaciela i prawej ręki na terenie działalności konspiracyjnej w Rosji — Krassina. Był on już wówczas dla swojej partji wyrocznią, podczas gdy o Trockim i Stalinie nikt jeszcze nie mówił. Przebywając poza granicami carstwa, Lenin zjeżdżał często w pobliże granicy, do Kouokolli, by odbywać narady z Krassinem w jego cichej i ustronnej willi. Victor Hox przybył tam w sam dzień Bożego Narodzenia, i zastał prócz pana domu i Lenina jeszcze znanego a zagorzałego teoretyka marxismu — Bogdanowa. Narada była już widocznie ukończona i trzej konspiratorzy, siedząc wkoło stołu, wyglądali na ludzi śmiertelnie znużonych. Reszta domowników, przedewszystkiem dzieci, znajdowała się na wspólnej choince, zorganizowanej zbiorowo u sławnego malarza Repina. Nawiązała się nanowo ożywiona rozmowa, krążąc wkoło słowa „choinka". Lenin zainteresował się znagła paczkami, przyniesionemi przez Hox'a i zainteresowanie to zmieniło się niebawem jakby we wzruszenie, gdy okazało się, że pudła zawierają — ozdoby i zabawki do przystrojenia drzewka. Co za rozczulająca dziedzina wspomnień... choinka, jarząca się od świeczek, obwieszona zabawkami, osypana zlekka imitacją puszystego śniegu,.

— U nas, w Samarze — miał się zwierzyć Lenin pod wpływem tych wspomnień, drzewko było zawsze pięknie przybrane, a świeczki były tylko — woskowe.

— Przesądy — sarknął surowo Bogdanow, ale Lenin uniesiony poezją wspomnień nie dał ich sobie zbagatelizować,

— To jednak smutne — ciągnął dalej, wracając do poprzedniej rozmowy, — to smutne, żeby z uroczystości tak czysto rodzinnej robić — kiermasz, jak teraz u Repina.

— Rodzina! — skrzywił się znowu Bogdanow, ale i tym razem przerwał mu Lenin, nie dając dokończyć zdania. A nawet z uśmiechem rozbawienia, dalekim od poprzedniej nudy, zwrócił się do Krasina z propozycją:

— Słuchaj! — Urządźmy sobie choinkę!

W jakieś pół godziny potem, gdy ustawiono ścięty na poczekaniu i otrzepany ze śniegu świerczek w głębi willi, i gdy Lenin ubierał go sam zlekka drżącemi rękami, skarżył się i kaprysił jak dziecko:

— Brakuje nam śniegu.. koniecznie musi być śnieg!

A gdy i temu Krassin zaradził, gdy zgaszono elektryczne światło i w pokoju jarzyły się już tylko świeczki na choince — Lenin obszedł ją raz i drugi z niemym zachwytem. Zatrzymał się wreszcie zadumany i patrzył w choinkę oczami pełnemi rozmarzenia. Tak przynajmniej to widział Victor Hox. Zwolna wzrok jego spoczął dłużej na krzyżu z desek, podtrzymujących drzewko, a z ust wypadły mu nieoczekiwane słowa, jakby niechcący wypowiedziana skryta myśl:

— A jednak był kimś ów Jezus z Nazaretu..

I zagłębiwszy się w cieniu, poza kręgiem blasku choinki — pogrążył się w milczącej zadumie...

Krąg drgającego światła, cisza willi i zaduma znadujących się w pokoju osób pozostały przez długą chwilę niezmącone. Trwało to może 10, może 15 minut, gdy znagła od strony Lenina dało się słyszeć krótkie i zduszone łkanie, którego pierś pomieścić nie zdołała. Krassin poskoczył i przekręcił kontakt, a gdy światło elektryczne zalało pokój i wyłoniło z ciemności wtuloną w fotel postać Lenina, trzej jego towarzysze ujrzeli twarz opanowaną i uśmiechniętą, tylko po policzkach płynęły duże łzy, zdradzając, że łkanie nie było tylko złudzeniem ..

* * *

Tak to wszystko opisał wzruszająco dziennikarz francuski p. Hox, zresztą podobno w Rosji naprawdę bywały. Usadowiono Iljicza przy choince, kazano mu dopraszać się o sztuczny śnieg, rozwieszać aniołki. Szkoda, że jeszcze nie kazano mu intonować kolendę. „Bóg się rodzi" w ustach Lenina byłoby bardzo budujące.

Lenin na Zachodzie ma szczęście do sentymentu. Dwa lata temu, też na gwiazdkę, Pola Negri, gwiazdka... filmowa, zwierzała się prasie amerykańskiej, z platonicznej miłości ich dwojga. Jej — i Lenina.

„.... Wówczas to (rok 1916, Genewa) poznałam go po raz pierwszy. Był ciężki, miał twarz zwiędłą, nieogoloną... Patrzał na mnie z nieopisaną serdecznością, tak jak on to umiał (Hm... hm... Przyp. red.) Podobał mi się. Czułam że wywarłam na nim wstrząsające wrażenie...

„Spotykaliśmy się często. W takiej małej kawiarence. Wyczekiwał długo na mnie. Czasem przychodził z nim ktoś i czekał. W pewnej chwili, na skinięcie wodza, podchodził. On wysłuchiwał szeptanej relacji przybysza, dawał krótką dyspozycję. I znowu byliśmy sami.. Moja mała dłoń była w jego ciężkich, szerokich rękach. Mówił. Opowiadał. Ja słuchałam...

„Niemoja maleńka Polu — powiedział kiedyś — nasze drogi się rozstaną. Twoja będzie świetna, pełna blasku, radości, sławy. Moja będzie ciężką i twardą drogą walki rewolucyjnej o wyzwolenie *narodu*. (Ciągle mówi — Lenin. Przyp. red.)

„I rozstaliśmy się. Byłam jego miłością" — kończyła star. A dziennikarze amerykańscy notowali z niezmąconą wiarą. Very curious! A great sensation!

* * *

Wiktor Hox i Apolonia Chałupiec (Pola Negri — hr. Dębska, — księżna Mdivani) mogą sobie podać ręce. Tą „małą dłoń", o której z tak niewieścią skromnością mówi maleńka Pola. Mogliby wspólnie napisać życiorys Lenina „odbronzowanego"

# R E K R

*Redakcja musi się usprawiedliwić: jeżeli drukujemy tę relację poborowego, to nie była ona nigdy zamieszczana jako antyteza znanego opowiadania Zbigniewa Uniłowskiego, które wywołało tyle protestów lub, poprostu, krzyków, tem mniej, oczywiście, jako antyteza „wojskowej" powieści „Gazety Polskiej" której auror przerasta Uniłowskiego niestety tylko defetyzmem, nie talentem.*

*„Rekrutów" napisał autor młody, świeżo po służbie wojskowej, pisze z odciskami wojskowej czapki na czole, Okazuje się, że czapka żołnierska przesłania mniej horyzontów niż dęciak cywila. Nasz autor obserwował wojsko, siebie i innych w wojsku. Służba była ciężka. Nie była głupia. 18 ludzi których rozkaz kaprala włączał w tą samą postawę przepisową, miało wobec życia i świata różne postawy. Odmiennie kształtowały się one w miesiącach służby rekruckiej.—Nie mamy wrażenia byśmy w „Rekrutach" dawali Czytelnikowi obrazek literacki z koszarami przemalowanemi modnie na piekło dantejskie. Dajemy w nich tylko sporo dokumentarnej obserwacji. Może potrzebnej.*

**Pierwsze chwile — Historja Piotra Koleby—Ukraińcy jako żołnierze — Żydzi w wojsku— Zdeklasowany maturzysta — Dyscyplina wojskowa (sprawa Uniłowskiego) — Komunizm — Oficerowie.**

Skład naszej drużyny jest dosyć niedobrany, Do naszego pułku przydzielają poborowych z P. K. U. Zagłębia Dąbrowskiego i Małopolski Wschodniej. Stąd na 18 chłopaków połowa to sprytni, obrotni Zagłębiacy, proletarjat miejski i zdeklasowana inteligencja, — druga zaś część to Ukraińcy, przeważnie analfabeci.

Dziś jest już połowa maja, kwitnie i pachnie bez. Gdy 14 kwietnia zgłaszali się przy bramie pułkowej poborowi — było jeszcze zimno i szaro na świecie. Ale może nietylko dlatego dziś na sali jest gwarno i wesoło a wtedy, w pierwszym dniu, poborowi posiadali przy swoich łóżkach na skrzynkach z rzeczami i w milczeniu i z obawą we wzroku przyglądali się co się koło nich dzieje. Nawet ten najweselszy dziś kawalarz Siejka wtedy oparł głowę na dłoniach i się nad czemś głęboko zamyślił, — pewnie myślał o Sosnowcu i swojem życiu bezrobotnego, w którem było źle i głodno, ale jednak była swoboda i wolność. A teraz?

Rozpatrzmy się w towarzystwie na sali.

Pierwszy z brzegu ma łóżko Bolak Kazimierz; pochodzi z Krakowa, ojciec na Podgórzu ma restaurację, sam praktykował u Hawełki, ostatnio pomagał ojcu. Jest wysoki, przystojny, szczupły i delikatny — zawód kelnera nie jest hartujący — przypomina Francuza. Gdy nałoży furażerkę, wygląda trochę jak ochotnik z Legji cudzoziemskiej w pierwszych miesiącach służby. Gdy mu to mówię, trochę się boi, że kpię z niego, ale w gruncie rzeczy jest zadowolony, że się czemś wyróżnia od kolegów, na których przeważnie patrzy zgóry — on jest posiadaczem, ma fach, ojca, który go trzymał ostro, nie pozwalał na wałęsanie po nocach z dziewczynami — coś jak w „Marjuszu" Pagnola, — ale napewno kochał i teraz przysyła mu dosyć często pieniądze, — uważa się więc za coś bez porównania lepszego od takiego Pietrka Koleby, Ukraińca, analfabety, zabijaki, awanturnika wsiowego, lub od takiego Siejki z Zagłębia, bezrobotnego, wykolejonego półinteligenta.

### Historja Piotra Koleby

Koleba Piotr (P. K. U. Trembowla) jest Ukraińcem, prawie że nie umie mówić po polsku i mało co rozumie. Temu też napewno należy przypisać niewinnie rozdziawioną w serdecznym uśmiechu gębę: czy mówi do niego kolega, czy kapral go beszta — Pietrek się rozbrajająco uśmiecha. Pewnie uważa, że w wojsku nie są znów tak źli, tylko tacy jakby dziecinni: chcą, żeby buty się świeciły przez dzień cały, chcą, żeby koc na łóżku równać z rana stołkiem i tem podobne najzupełniej niepotrzebne rzeczy każą ciągle robić. Ale pozatem jest dobrze, dają dosyć chleba, i codzień mięso, a co dziesięć dni jeszcze 85 groszy na papierosy dadzą. Że kapral poszturchuje na mustrze, każe wypinać pierś, a chować brzuch, to głupstwo. Kiedyś, wieczorem, gdy siedziano na sali i nie było — jak zwykle po okresie rekruckim — nic do roboty, Koleba, który był znanym osiłkiem, zaczął wyjątkowo głośno kłócić się z innymi. Z początku nie bardzo wiedziano o co chodzi, wreszcie okazało się, że twierdzi, jakoby był niewrażliwym na ból fizyczny, tyle w życiu i on walił i jego nawalili. Kapral posłyszał to i powiedział:

— Sprobójemy.

Potem wziął pas od karabinu, pas gruby, podwójny, zaopatrzony na końcach w mosiężne sprzączki, Koleba zaś widocznie uradowany wypiął tylną część ciała. Grono żołnierzy otoczyło ich szerokiem kołem, kapral uniósł pas nad głowę, a potem naraz bokiem ściągnął nim z całej siły Kolebę, aż głośno słychać było suchy trzask twardego rzemienia o rownie twardą, prawie że końską skórę krępego parobczaka. Z miejsca nastąpił głośny wybuch śmiechu — to koledzy się śmieli z Pietrka, że tak się dał kapralowi nabrać. Aż tu Koleba podniósł dotąd schyloną głowę i ku ogólnemu zdziwieniu zobaczyliśmy jego twarz... jak zwykle rozdziawioną w dobrodusznym uśmiechu.

— Ne bołyt... — usłyszeliśmy.

— Co, nie boli? To ci warjat! — wykrzykiwali z podziwem zagłębiacy.

Kapral śmiał się.

— Co, nie boli, byczku — od tej chwili tak zaczął go nazywać — dobrze, sprobójmy jeszcze.

I znów Koleba schylił głowę, a wypiął co innego, a kapral złożył pas podwójnie, starannie ułożył klamerki, rozmachnął się i znów z całej siły walnął, aż przysiadł.

Zdawało się, że normalny człowiek posiadający nerwy, powinien krzyczeć, wić się z bólu. A tymczasem znów gromki śmiech zadowolenia obecnych, że teraz to już chyba ma za swoje — i znów ogólny zawód:

— Ne bołyt...

Po jeszcze dwu razach dopiero Koleba miał dość tej zabawy. Ale do ostatka twierdził, że go to nie bolało.

Koleba zresztą miał swoją sławę i być może, że i to go skłaniało tym razem do zaciskania zębów pod razami pasa. Oto miał on w pierwszej instancji wyrok dwuletniego więzienia za zabójstwo w bójce wiejskiej. Chłopaków walczyło ze czterdziestu, biły się dwie wsi, zaczęło się jak zwykle od wesela, na które przyszli nie zaproszeni. „Nas buło siem" — opowiadał łamaną polszczyzną Koleba — przyszliśmy na wesele, a nie puścili. Jeszcze wyszło ich ze trzydziestu z kołami. My za „gumszlaki" (guma, w środku ołów) i dalej walić. I my ich nawalili, mimo, że nas było siedmiu, a ich trzydziestu i jeszcze jeden z nich został zabity, na śmierć. Ciemno było, my sami nie wiemy, kto mu to zadał, to policja wszystkich zamknęła „i na sud." Sąd się ciągnie już rok, adwokatów ze dwudziestu w Brzeżanach ma zarobek, czterdziestu jest przecież oskarżonych, rodziny sprzedają wciąż po mordze, płacą i płaczą, a adwokaci się cieszą. Sprawa jest w apelacji, daj Boże. może kasację, — sprawa znów przeciągnie się na dwa lata. Dziś w każdym razie Koleba jest sławny na całą kompanję. Nieraz gdy przyjdzie sierżant z innej kompanji i zagadnie któregoś, wnet dowiaduje się, że jest u nas taki, co „zabił chłopa". Nawet pan kapitan, dowódca kompanji, wie już o tem. „Zgnijesz Koleba w kryminale" mawia w chwilach złego humoru kapral.

Koleba ma przynależność klasową, przynależności narodowej niema. Jego ojciec jest czemś w rodzaju gajowego w lesie gminnym, Koleba chował się w lesie i uszu poza niego nie wysadzał. Lokomotywę zobaczył gdy był już dobrze podrastającym parobkiem. Co go to tam ciekawiło, co jest za lasem. We wiosce Koleby mieszkają sami Kolebowie, z sąsiedniemi jest stan wojenny. Istnieje swoista vendetta w powiecie Brzeżańskim. Wojna idzie głównie o dziewczyny, nietyle o ich wdzięki zresztą co o ich morgi. Wstyd przecież oddać dziewczynę bogatą chłopakowi z innej wsi.

Ale nacjonalistą Koleba nie jest. Jest to człowiek niejako p i e r w o t n y, o uproszczonym światopoglądzie. Rozumuje pojęciami; głód, chłód, chleb, obiad, na uczucie miejsca w j e g o umyśle niema, kobieta to dla niego samica. On jest naprawdę materjalistą dziejowym, mimo, że o istnieniu Marksa nigdy nie słyszał. Słowa „naród", „państwo" to pojęcia nierealne dla niego. On nacjonalistą ukraińskim nigdy nie będzie, dopiero może jego syn dojdzie do uświadomienia narodowego.

### Ukraińcy

Człowiekiem z charakterem jest Ukrainiec Zaradowskij Hilary. Twardy, wie czego chce. Chce przedewszystkiem jaknajprędzej odbyć wojsko, wrócić do domu, do żony. Dlatego zgodził się na ochotnika być ordynansem na izbie podoficerskiej, ścielić łóżka, myć menażki i znosić ciągłe besztanie plutonowego — za to ma obiecany urlop, wiadomo, jak plutonowy poprosi pana kapitana, urlop będzie. Teraz — aby jaknajprędzej zeszło. W domu jest żona, wolność, swoboda; urlop dla niego wszystkiem: Zaradowski będzie miał szczęście do urlopów: dostanie u r l o p strzelecki, potem znów dziecko półroczne mu umrze — Zaradowski miał chałupę przy stacji i trudnił się rozwożeniem telegramów, gdy był w wojsku żona go w tem zastępowała; zostawiała dziecko bez opieki, aż raz się przeziębiło i umarło — ale Zaradowski nie długo się tem przejmował: grunt to urlop, byle choć trzy dni być w domu, dziecko to jeszcze najłatwiejsza rzecz do zrobienia.

Ukraińców jest 6 w drużynie. Prócz Koleby i Zaradowskiego jest jeszcze Jakimczuk, drań, kłamliwy, wykrętny, jak co w drużynie zginie podejrzenia zawsze są na niego. dalej B o d n a r, przeciętny chłopak, choć dość sprytny, wreszcie Sudyj Włodzimierz i Biłejko Tymoteusz.

Sudyj był fornalem w folwarku Potockich. Jest to chłopak porządny, obowiązkowy, robi zawsze co do niego należy — nie jak Słupski, którego, kapral zawsze musi skląć bo inaczej zawsze od każdej roboty się wykiwa. Pozatem jest czysty, nie jak Koleba, który gdy przyszedł do wojska był aż szary z brudu, tak że kapral kazał mu się rozebrać, a innym rekrutom, wziąść szczotki ryżowe i szorować go w łazience jak wieprzka. Sudej jest uprzejmy, wesoły, uczciwy — aż dziwnie jak na chłopa.

O ile Sudyj jest porządnym chłopcem i dobrym żołnierzem, to szósty Ukrainiec, Tymoteusz Biłejko, popularnie zwany Tymkiem, jest też porządnym z kości człowiekiem — ale za to kompanijną ofermą. Chłop ogromny, głupi jak but, nie rozumie po polsku, kapral nie kapral, dosłownie wszyscy rugają go na mustrze i wogóle przez dzień cały. Po pierwszym marszu tak zasłabł, że chodzić w koszarach prawie nie mógł. Pytano się go:

— Tymko, szo bołyt?

— *Wsio* bołyt — odpowiadał znękany wojskiem, służbą, wszystkiem.

Zdawałoby się, że o ile chodzi o ambicję, popychany i poszturchiwany przez wszystkich rekrut zatracił wszelką ambicję — o ile kiedykolwiek w życiu ją miał. Aż tu kiedyś okazało się, że jest inaczej. Mianowicie po dwuch miesiącach wyszkolenia rekruckiego miała się odbyć uroczystość przysięgi, połączona z mszą polową i defiladą. Już na tydzień naprzód dowódca batalionu zarządził próbne defilady. Dowódca kompanji osobiście je przeprowadzał, a w ostatniej chwili, chcąc by nasza kompanja wyróżniła się wśród innych zapowiedział podoficerom, by ci wybrali żołnierzy którzy najgorzej maszerują, tym po przysięgę, gdy pułk będzie się ustawiał za trybunami do defilady, każe się wystąpić z szeregów i w defiladzie udziału nie wezmą.

Naturalnie między wybrańcami znajdował się nasz Tymko. Cały czas źle chodził, kapral, sierżant, porucznik, kapitan — wszyscy od tygodnia mu wymyślali. Osobiście byłem przekonany, że chłop splunie najwyżej z radości że na defiladę nie pójdzie, że będzie miał spokój. Nagle, gdy kapral każe mu wystąpić z szeregu (stał jako wysoki na czole) i pójść na lewe skrzydło kompanji, chłop, który nigdy prawie nie mówił, zaczął coś szeplenić.

— Ja ne choczu — usłyszeliśmy najwyraźniej.

Kapral krzyknął:

— Jazda Tymko, ruszaj na koniec!

Aż tu niespodziewanie słyszymy:

— Ja ne pidu!

Tymko najwyraźniej, najoczywiściej oponował. Ten najcichszy, najposłuszniejszy żołnierz *odmawiał spełnienia rozkazu*, do tego przed frontem kompanji, pod bronią. Za to kodeks karny wojskowy przewiduje do 6 miesięcy więzienia.

— Ja ne pidu! — powtarzał Tymko ze łzami w oczach — Ja ne pidu..!

Na szczęście kapral nie uznał słów Tymka za bunt. Skończyło się i tak na tem naturalnie, że Tymko nie szedł w defiladzie. Aleśmy się przekonali, że w tem napozór tępem, bezdusznem stworzeniu wojsko umiało jednak obudzić: ambicję żołnierską.

O ile chodzi o ukraińców to są doskonałymi żołnierzami. Powód tego leży w ich dużej obowiązkowości. Polakom tego brak. Szkoła powszechna i gimnazjum nie uczy u nas tego, i tem się różni od szkoły angielskiej. Maturzysta angielski ma *mniejszy zasób* wiadomości z dziedziny historji powszechnej i literatury od maturzysty polskiego ale wynosi ze szkoły dwie zalety: poczucie obowiązkowości i niechęć do kłamstwa, dwie zalety u nas nieznane. Wojsko dopiero dopełnia u nas szkołę, uczy obowiązkowości, do nauczenia prawdomówności jest niestety jednak jeszcze bardzo daleko! Ale odeszliśmy od tematu.

Otóż twierdzę stanowczo, że Ukraińcy są jako żołnierze bardziej obowiązkowi od Polaków. Naturalnie nie będzie to zasadą bez wyjątku, to jasne, ale chodzi nie o ogół, o przeciętnego żołnierza. Zarówno w koszarach w czasie robót porządkowych i innych, prawie zawsze robota wykonywana przez Ukraińca była wykonywana solidniej, tak samo na ćwiczeniach. Pamiętam ostatni dzień manewrów, gdy—po kilku dniach forsownych marszów naszego bataljonu, który jako odwód bywał przerzucany bez przerwy z miejsca na miejsce—kompanja nasza miała się przesunąć do pierwszej linji. Dziś łatwo się pisze: „przesunąć do pierwszej linji". Wtedy oznaczało to brnąć po błocie, po grząskiej oraninie z 7 kilometrów, nawpół biegiem, w pełnym rynsztunku, i plecakiem ważącym niewiem ile. Żołnierzom biec się nie chciało, spodziewaliśmy się lada chwili ogłoszenia zakończenia manewrów, żołnierze wyglądali sa-

**W najbliższym numerze naszego pisma, wspomnień młodego więźnia jednego w jednym z krajów europejskich. Będą to — wspomnienia, jakie się ukażą w piśmie**

**Ideologja, za którą autor wspomnień i jego stemi miejsca uwięzienia była i pozostała dla tych ludzi. Ale może bardziej jeszcze obcemi ropejskiej stały się metody zastosowanych**

**Mamy wrażenie, że drukując te wspom tem pełniejsze życiowej prawdy, nie zaspo ale przedłożymy myślącemu Czytelnikowi materjał do rozważań.**

# U C I

molotów, które miały sygnalizować koniec działań „wojennych" czerwonym dymem, poco więc się spieszyć? W rezultacie kilku „morowych" z Zagłębia „zagubiło się" po drodze, na linję doszli jednak *wszyscy bez wyjątku* Ukraińcy. Do ostatka wykonywali obowiązek sumiennie. I tak było zawsze na każdej placówce, na każdym patrolu.

Powody były różne. Jednym była może większa wytrzymałość fizyczna Ukraińców jak Polaków, być może. Drugim było może to, że Ukraińcy stoją przeciętnie na niższym poziomie intelektualnym od Polaków, a znanym jest objaw, że ludzie prości biorą sobie bardziej do serca lub bardziej poważnie swoje obowiązki od przerafinowanych intelektualistów.

Zresztą i Polacy jako żołnierze mają swoje zalety. O ile u Ukraińców widziałbym jako takie: obowiązkowość, dokładność, upór w wypełnieniu zadania, o tyle Polacy jako żołnierze odznaczaliby się: sprytem, obrotnością, pomysłowością. Z tego by wynikało, że pułki ukraińskie byłyby pewniejsze w obronie, w walce pozycyjnej, pułki polskie lepsze w natarciu, w pogoni, w walce ruchomej; ale wróćmy od teorji do życia.

**Żydzi w wojsku.**

Żydów w drużynie było trzech: Berson, Icek Weinert i Hirsch Lancberg. Każden z nich był inny.

Berson był wzorowym żołnierzem. Buty zawsze czyste, karabin czysty, na baczność wyprężony ani drgnie, z przepustki się nie spóźni — wszyscy podoficerowie go lubieli. Po manewrach został przydzielony do szkoły podoficerskiej.

Icek Wajnert nie był dobrym żołnierzem: buty zawsze brudne, karabin brudny, na baczność stoi krzywo, z przepustki zawsze się spóźni. Ale lubiano go mimo tego, bo Icek był wesoły i dowcipny. Pozatem w dziejach kompanji miał swoją historję, dzięki niej stał się sławnym, prawie tak jak Koleba.

Historja polegała na tem, że kiedyś, w piątkowe popołudnie Icek wyszedł na miasto. Poszedł na plac, skąd odchodziły autobusy. Icek pochodził z oddalonego o 30 klm. miasteczka, spodziewał się więc może zobaczyć znajomego. Rzeczywiście jechał właśnie znajomy szofer.

Wywiązała się miła rozmowa. „A jaki piękny mundur... a jaki dzielny wojak... a żeby tak do domu, do miasteczka się pokazać..?"

Icek bardzo chciał, ale się bał — nie miał przepustki.

— Jedź Icek, Salcię zobaczysz — kusił przyjaciel.

Icek zaczynał ulegać. Maj, wiosna, rodzinne miasto, Salcia...

— Jedź Icek, zadarmo przewiozę.

I Icek uległ.

Tymczasem w koszarach niepokój. Gdzie Icek? pyta kapral. Gdzie Icek? — pyta szef. Nazajutrz już wie o zniknięciu Icka dowódca kompanji. Następnego dnia idzie meldunek do batalionu, na trzeci dzień do pułku. Icek w rozkazie pułkowym zostaje uznanym dezerterem, idzie pismo do dywizji, do żandarmerji, by wszcząć poszukiwania. Mija dzień czwarty.

Aż tu piątego dnia przez otwarte, parterowe okno sali zagląda głowa Icka, trochę wystraszona, ale jak zawsze uśmiechnięta, poczem sam Icek z ogromnym bochenkiem chleba pod pachą wkracza na salę.

Co potem się działo—można się domyśleć. Rozmowa z dowódcą kompanji nie była przyjemna. Szczęściem było jego, że wrócił sam; gdyby żandarmerja go dopiero była sprowadziła—byłby uznany za dezertera. Ponieważ sam wrócił podciągnięto jego wycieczkę tylko pod „samowolne wydalenie się z oddziału".

Wreszcie trzecim Żydem był Lancberg.

Rozmawiałem kiedyś z kapralem na tematy żydowskie. Gdy wyłożyłem kapralowi różnicę między sjonizmem a asymilacją, wszedł właśnie na salę Hirsch Lancberg, inteligentny, „delikatny żydziak" jak mówił kapral. Kapral spytał się go:

— A wy Lanberg jesteście sjonista czy asymilant?

Lancberg, krawiec z zawodu (z Krakowa) nie bardzo się orjentował w tych rzeczach, albo też uważając za bardziej wskazane, odpowiedział po namyśle:

— Jestem asymilant.

Wobec tego dałem spokój kapralowi, a od tej chwili dalsza dyskusja o sjonizmie potoczyła się między mną a Lancbergiem. Mówiłem o Teodorze Herzlu, o Palestynie, o Trumpeldorze, starałem się mówić jak mogłem najbardziej przekonywująco. Może to, (a może poprostu moje naszywki podchorążego?) sprawiły, że Lancberg przyznał mi rację i sjoniści w Polsce uzyskali nowego zwolennika swej idei.

Potem przyszły manewry. Lancberg słaby fizycznie zawsze był w tyle, za innymi: w marszu, w natarciu, w kopaniu okopów. Podoficerowie nie żałowali mu też wymyślań, wszyscy besztali Lancberga. To też z każdym dniem Lancberg stawał się gorszym żołnierzem.

Tymczasem zmieniono nam przydziały i ja zostałem dowódcą drużyny w której był Lancberg. Odrazu pierwszego dnia poszliśmy na dalszy patrol. Lancman jak zwykle opóźniał marsz.

Zamiast besztania obrałem inną taktykę: wziąść go na ambicję. Zacząłem mu mówić: czy wam nie wstyd, Lancberg być zawsze ostatnim, czy przyjemnie wam być pomiatanym, pokażcie, że Żyd może być takim samym dobrym żołnierzem jak Polak lub Ukrainiec a nawet lepszym? I Lancberg po kwadransie szedł już na czole drużyny. Innym razem batalion szedł marszem ubezpieczonym, nasza drużyna jako szpica, a Lancberga wyznaczyłem kolejno na szperacza na czole. Już tego dnia zrobiliśmy ze 40 kilometrów, żołnierze byli zmęczeni, nie można było jednak zwalniać tempa. Lancberg nie mógł iść.

— Lancberg, wyobraźcie sobie, że idziecie zdobywać Palestynę — mówiłem.

I Lancberg szedł zaraz prędzej i mówił:

— Pan jest mądry, pan wie jak do mnie przemówić, ale ja zdrowie całkiem stracę.

Przy końcu manewrów Lancberg już sam się zgłaszał na ochotnika, gdy trzeba było iść na patrol.

**Zdeklasowany inteligent.**

Największy kłopot był w plutonie Kosyturem. Przeciętnych zdolności chłopak oblał się przy maturze ustnej. Ponieważ był już i tak spóźniony bo kończył 21 rok życia więc wzięto go do wojska, nie do podchorążówki ale do zwykłej kompanji.

Bezwątpienia było dla niego ciężkiem kolegowanie z analfabetami. Tem bardziej, że na każdym kroku pragnął się popisywać swem wykształceniem.

Kiedyś na wykładzie gazowym porucznika Czekarskiego zaczął zadawać pytania. Porucznik z właściwą sobie uprzejmością odpowiadał, a Kosytur tymczasem zamiast dziękować za wyjaśnienia zaczął aprobować tonem protekcyjnym prawie:

— Tak, tak, pan porucznik dobrze mówi!

Okazało się, że Kosytur chciał sprawdzić tylko, czy porucznik nie pomyli się w oznaczaniu składu chemicznego gazów. Naturalnie nie przysparzało to Kosyturowi sympatji przełożonych.

Jeszcze gorzej układały się stosunki Kosytura z podoficerami. Kosytur z racji swej znajomości chemji, łaciny i historji patrzył się bardzo z góry na wykłady podoficerów o broni czy „współdziałaniu dwuch strzelców w natarciu". Tymczasem ukrainiec analfabeta Koleba słuchał ich z uwagą niczem największej mądrości tego świata — takie mu się to trudne wydawało. Rezultatem było, że gdy przyszedł dowódca kompanji, analfabeci lepiej wykonywali ćwiczenia od gimnazjalisty Kosytura który niczego *dokładnie* nie wykonał.

Skończyło się na tem, że podoficerowie zaczęli niecierpieć Kosytura — ten jak zawsze starał im się okazać swą umysłową wyższość. Mogło się to dla niego nieprzyjemnie skończyć. Na szczęście porucznik Czekarski, człowiek bardzo inteligentny i kulturalny wczuwał się w położenie Kosytura. Na którejś z odpraw podoficerskich, gdy podoficerowie skarżyli się na Kosytura porucznik mnie powierzył misję przemówienia do sumienia Kosyturowi, jako że ja najbliższy mu jestem wykształceniem.

Wziąłem więc Kosytura na stronę, a ponieważ byłem z nim w przyjaźni zmyłem mu głowę, mówiąc, że swojem lekceważeniem obowiązków będzie sobie tylko coraz to bardziej utrudniał i tak niemiłą sytuację. Dawałem mu jako przykład Czyrza, który mimo że pochodził z porządnej rodziny i miał też z 6 klas gimnazjum ukończonych, był zawsze dobrym żołnierzem, zawsze wesołym, wszyscy go ogromnie lubieli i koledzy i przełożeni.

Na to dotychczas ironiczny zawsze kosytur rozpłakał się i wyznał mi, że służba wojskowa w tem otoczeniu jest dla niego tak przykra, że niemożliwem mu jest dłużej wytrzymać.

W rezultacie potem jakoś znośniej ułożyły się stosunki Kosyturowi, potem przeniesiono go do łączności i straciłem go z oczu. Bezwątpienia stanowi on dobry przykład tragedji jaką stanowi zdeklasowanie inteligenta.

**Dyscyplina.**

Problem dyscypliny wojskowej stał się znów aktualnym dzięki artykułowi Uniłowskiego w „Wiadomościach literackich". Redakcja „W. L." wyjaśniła, że „Dzień rekruta" to nie był reportaż, czyli ściśle podanie faktów, ale wyjątek z powieści. „Dzień rekruta" przedstawiony przez Uniłowskiego był niezgodny z prawdą: zdarzy się w każdej armji czasem nieodpowieni oficer lub podoficer sadysta, ludzie są ludźmi a armja jest taką, jaką jest społeczeństwo—ale nie jest to regułą — jak to przedstawił Uniłowski.

Dyscyplina wojskowa jest bezwzględnie rzeczą przykrą, szczególnie daje się odczuwać w podchorążówkach absolwentom wyższych uczelni, którym trudno jest się nagiąć do podporządkowania podoficerom. Jedzenie z kotła, twarde łóżko, dalekie marsze—to naogół było najłatwiejsze do zniesienia. Ale ciągłe podporządkowanie *w najmniejszym drobiazgu* — wszyscy przyznawali, że to było najcięższe. Ale celowość tego jest dosyć jasna.

Bezwątpienia o ile chodzi o samo wyszkolenie, to nie jest ono tak trudne i można by je przejść z łatwością w kilku miesiącach. Ale znacznie dłuższa służba wojskowa ma za zadanie *psychiczne* oddziałanie na żołnierza, wyrobienie w nim podświadomego przekonania, że rozkaz w wojsku to rzecz święta, którą zawsze trzeba wykonać. Inaczej w chwili mobilizacji lub wojny sztaby znalazłyby się w niemożności utrzymania w karbach miljonowych szeregów rezerwistów, a podporucznik rezerwy, dowódca plutonu nie miałby dość siły woli u siebie a autorytetu wśród żołnierzy by pod ogniem już nie ślepych naboi ale prawdziwych poprowadzić ich mimo grozy śmierci zawsze *naprzód*.

**Oficerowie.**

O oficerach wyższych zdania nie wypowiadam, bo w wojsku nie miałem z nimi stosunków. Mimo demokratyczności armji dystans między podwładnym a przełożonym istnieje, jest zrozumiałym. A propos przypomina mi się taka historja.

W czasie manewrów przyjeżdża do pułku generał. Właśnie kopaliśmy okopy. Przegląd idzie dobrze, nagle generał zwraca się do jakiegoś żołnierza z zapytaniem o jakiś szczegół. Żołnierz milczy; generał się pyta dalej, rzecz była bardzo prosta. Żołnierz dalej nie odpowiada jakby mu mowę odjęto. Wreszcie generał machnął ręką i pojechał dalej.

— Dlaczegoś nie odpowiadał — pytamy, — przecież wiedziałeś o co chodzi — bo chłopak był nawet dosyć dorzeczny.

— A cóż ja tam będę z Bogiem gadał!...— odpowiada nam na to.

O ile chodzi o młodszych oficerów to świetny typ oficera wychowują nasze szkoły podchorążych. Przewyższa on w dużej mierze oficerów z armji zaborczych, którzy przeważnie mają stargane nerwy. Prócz energji, stanowczości cechuje go ponadto: kultura oraz proste a doskonałe podejście do żołnierza, umiejętność połączenia autorytetu z wesołością i prostotą w obejściu. Żołnierze nieraz przepadają za młodszymi oficerami; pamiętam kiedyś nasz dowódca plutonu porucznik Czekarski potrzebował kogoś na ochotnika. Stojąc przed frontem kompanji, zakomenderował:

— Jeden strzelec na ochotnika wystąp!

Na to *cała kompanja* z wyjątkiem kilku z lewego skrzydła, którzy nie dosłyszeli o co chodzi — wystąpiła naprzód.

**Komunizm, kolektywizm.**

Na niedługo przed pójściem do wojska wpadło mi do ręki nielegalne pismo komunistyczne, w którem widniały korospondencje z szeregu naszych pułków. Przez cały czas służby wojskowej nie nasunęły mi się jednak nawet najmniejsze pozory agitacji komunistycznej w wojsku.

Co więcej, gdy w szeregu rozmów próbowałem poruszać problemy społeczno-gospodarcze tendencje już nie tylko prokolektywistyczne ale nawet *proetatystyczne okazały się — niesłychanie niepopularne*. Marzenie przeciętnego rekruta szło w kierunku posiadania własnego kawałka ziemi, *własnego warsztatu pracy*. Do etatyzacji i Polak i Ukrainiec i Żyd odczuwali tą samą niechęć, ten sam wstręt nawet.

**Brak zainteresowania sprawami państwa.**

Wreszcie ostatnia uwaga, jaką tu chciałbym jeszcze uczynić, to *brak kompletny zainteresowania sprawami państwa*. U naszego rekruta dopiero się widzi jakie niebezpieczeństwo zawiera system rosyjski, system niedawania oświaty szerokim masom ludu, oraz dyktatura, która odbierając społeczeństwu możność wpływania na przebieg wypadków w państwie powoduje zanik zainteresowania się społeczeństwa losami własnego państwa. Przeciętnego rekruta, a więc obywatela państwa, którym był przed przyjściem do wojska i którym będzie po wyjściu z wojska, nic dziś sprawy państwowe niestety nieobchodzą*).

Stan ten jest zły, kryje w sobie duże niebezpieczeństwa na wypadek gdyby karby wiążące dziś szerokie masy społeczeństwa w pewnej chwili z tych czy innych powodów musiały chwilowo się rozluźnić.

Na nas, inteligencję spada tem odpowiedzialniejszy obowiązek 1) *tem żywszego zajmowania się sprawami naszego państwa i 2) jaknajszybszego wciągania do tego szerokich mas ludności!*

*) Właściwie *jedynie wojsko* wyrabia dziś państwowo szerokie rzesze ludności. Pozycje budżetu wojskowego opłacają się w dwójnasób: nietylko jako gwarantujące obronę państwa, ale jako dźwigające oświatę i kulturę dołów społecznych.

**z dn. 15 stycznia b.r. rozpoczynamy druk**
**z głośniejszych obozów koncentracyjnych**
**o ile nam wiadomo — pierwsze tego rodzaju**
**polskiem.**

**towarzysze znaleźli się za drutami kolcza-**
**nas obcą. Obcemi są dla nas metody walki**
**naszemu rozumieniu kultury zachodnio-eu-**
**represyj.**

**nienia, pozbawione literackiej obróbki, lecz**
**koimy niczyjego „głodu" brukowej sensacji,**
**w naszym kraju równie bogaty jak ponury**

# PRZEGLĄD PRASY PERJODYCZNEJ

## Ułaszyn strzelił byka

Na łamach „Pionu" prof. Henryk Ułaszyn wyskoczył z odpowiedzią na przed rokiem drukowany artykuł Skiwskiego, p. t. Czy wolno zabić heretyka? Cały rok namyślało się Ułaszynisko, zbierało daty i cyfry, lubowało się tym ostatecznym ciosem, który zada znienawidzonemu katolicyzmowi. I tym razem nie potrafił jednak ustrzedz się od grubego, kompromitującego byka...

By udowodnić, że „inkwizycja istnieje do dziś dnia" zarzuca nas profesorzysko gradem dat i nazwisk z lamusa iście pacanowskiej erudycji. Między innemi poucza, że „inkwizycję w Portugalji zniesiono w 1820 roku, za liberalnego ministra Pombala". Oczom nie chciałem wierzyć! Czyżby błąd druku? Nie. Następne zdanie stwierdza, iż rzeczywiście chodzi o „początek XIX wieku". Od przeciętnego czytelnika „Problemów" nie wymagamy, by wiedział, kiedy żył Pombal. Podobnie i od przeciętnego czytelnika portugalskiego nie będziemy wymagali wiadomości, iż Kościuszko nie żył w XVI wieku. Ale od tego jest się profesorem uniwersytetu w Poznaniu, od tego fasuje się grubą pensję miesięczną, od tego się jest na wydziale humanistycznym, aby wiedzieć mniejwięcej przynajmniej, kiedy żyła najważniejsza może osobistość w rozwoju dziejowym Portugalji. Jeżeli się zaś tego nie wie — to nie należy o Pombalu wogóle pisać.

Takie to dziwne i znamienne. Ile razy ktoś pocznie zwalczać religję w imię nuki, czy to będzie historja, czy biologja lub fizyka: zawsze pokaże się, że to nie nauka, ale jakieś śmieszne zarozumiałe nieuctwo. Pombala wygnano w połowie XVIII wieku. Co zrobić z Ułaszynem?

## Dziwny paradoks.

Ostatecznie możnaby zrozumieć, że państwo toleruje na katedrze uniwersyteckiej bardzo wybitnego człowieka, pomimo że codziennie obraża on uczucia religijne olbrzymiej większości obywateli i podatników Gdyby to był Renan płacilibyśmy bez wahania. Gdybyż przynajmniej Boy... Taki on tam jest jaki jest, ale przecież nikt nie zaprzeczy, że to wielki publicysta i krytyk literacki, gwiazda pierwszorzędnej wielkości. W takich wypadkach interes kultury narodowej każe znosić ludzi o najbardziej obrzydliwych nawet poglądach. Co za sens jednak konserwować człowieka, który umiejętność prowokowania bez przerwy uczuć wyznaniowych ludności łączy z ignorancją wyłażącą jako szydło z worka i który znany jest zwłaszcza z produkcji paszkwilowych broszurek służących do zohydzenia tego, co przywykliśmy uważać za najświętsze? Czyż nie lepiej usunąć pospiesznie w stan zasłużonego spoczynku p. Ułaszyna, zanim potężny ruch z dołu nie ogarnie wraz z nim i całego szeregu — naprawdę wartościowych profesorów?

Należy się obawiać, iż p. Skiwski znów wyskoczy z twierdzeniem, iż dajemy tu upust zgoła nie katolickiemu uczuciu nienawiści. Dla wyjaśnienia więc pośpieszam stwierdzić, iż w najmniejszej mierze nie odczuwam nienawiści do p. Ułaszyna. Właśnie chrześcijańska miłość bliźniego dyktuje mi radę pospiesznego wycofania z obiegu p. Ułaszyna, a to w celu oszczędzenia mu o wiele większych nieprzyjemności. Psychicznie Ułaszyn stanowi dla mnie nawet dość sympatyczny typ. Typowa to szlachecka hetka-pętelka. Taki człowiek całe życie będzie walczył z Panem Bogiem, ze świętymi i papieżem, będzie piszczał, krzyczał, pluł, pod sam zaś koniec taki Ateusz „made in Poland" cichaczem poślę po proboszcza...

## W sprawie B. P. Ukr.

Oddawna już zamierzałem publicznie wyrazić moją opinję o dotychczasowej działalności redaktora Biuletynu Polsko-Ukraińskieco, p. Włodzimierza Bączkowskiego. Napaści, na które narażony był niedawno ten publicysta skłaniają mnie do przyśpieszenia tego planu.

Otóż nie ulega wątpliwości iż Bączkowski dobrze się zasłużył polskiej myśli politycznej. W chwili gdy nad stosunkami polsko - ukraińskiemi ciążyły prawdziwe opary i mgły, zgęszczone zarówno endeckiemi wyziewami jak ogólną ignoracją, potrafił on zapoczątkować wydawnictwo, które usilną dwuletnią pracą zrobiło więcej dla zapoznania społeczeństwa polskiego z narodem ukraińskim, jak wszystkie poprzednie wysiłki razem wzięte. Ta nadzwyczaj pochlebna ocena działalności Biuletynu, nie przeszkadza bynajmniej w dostrzeganiu pewnych usterek w sposobie jego prowadzenia. Parę dni temu przyszła mi na myśl następjnąca uwaga w związku ze sposobem redagowania pisma.

## Sprawa Czornobaja.

Właśnie jechałem prowincjonalnym autobusem,w zapadłym zakątku wschodniej Galilei. W ręku trzymałem Biuletyn, który mi redaktor z podziwu godną uprzejmością nadsyła gratisowo i który w przeciwieństwie do innych czasopism zawsze z zainteresowaniem czytam. Otóż trzymałem w ręku Biuletyn przerzucając rozmaite informacje uczone — o Hruszewskim, o Rsuku, o Wciku, o Bylinach i o różnych innych mądrych rzeczach. Ni ztąd ni zowąd nawiązała się rozmowa z towarzyszem podróży. Pokazało się, że ten jegomosteczek z waszecia—to niejaki Czornobaj, b. kontroler pocztowy z pobliskiego miasteczka powiatowego. Jedzie do województwa — do Tarnopola. Naco? „Ot, Panie Dobrodzieju, co mi się przytrafiło. Szedł człowiek ulicą w czasie zjazdu „Proświty" w Br. Zobaczył komendant policji. Zaraz doniesienie, do starostwa, do wydziału bezpieczeństwa w województwie. Trzeba Panu wiedzieć że jestem rusinem. Na trzeci dzień, zwolnienie, bez emerytury! Chodzę, błagam, biegam. Nic nie pomaga. Co ty taki synu — każą — na „Proświtę" będziesz chodził? Teraz jest silna władza, my wam pokażemy, kozie syny. I byłby już człowiek z głodu zdechł z żoną i trzema małemi dziećmi, gdyby w międzyczasie sąd okręgowy nie był tego komendanta skazał na dwa lata więzienia za szantaż. Przysięgam na nowo żem na Proświcie nie był, żem tylko ulicą przechodził. Znowu do starostwa, do wydziału bezpieczeństwa, do województwa. Ot i teraz jadę. Powiedzieli że jak B. B. W. R. poprze to może zrehabilitują. Już mi wszystko bajdużne. Byle chleb człowiek miał".

Dla wyjaśnienia dodajemy iż „Proświta" jest organizacją o charakterze czysto oświatowym, coś w rodzaju T. S. L., aczkolwiek zajmuje się głównie czytelniami wiejskiemi. Jednym z jej kierowników jest p. Kuźmowicz, redaktor umiarkowanej, konserwatywnej „Mety".

*Ten Czornobaj nie jest wyjątkiem. Takich Czornobajów są miljony. Ich głos wołający o litość i sprawiedliwość gubi się w stosach aktów i w kurzu archiwów. Głos ten nie dociera do kulturalnego społeczeństwa polskiego.*

Rozlega się jedynie w podziemiach, od czasu do czasu — koncentruje się w huku, niezrozumiałych dla nas wystszałów. Tu właśnie, nie w podawanych bezbarwnych informacyj „kulturalno-gospodarczych", powinno leżeć główne zadanie „Biuletynu". On powinien się stać trybuną wszystkiego co w mniejszości, nieszczęśliwe, co pokrzywdzone i skrzywdzone. Powinien w każdym poszczególnym wypadku przeprowadzać kampanję przeciw kołtuństwu, ignorancji i obskurantyzmowi naszych władz policyjno-administracyjnych. Niewątpię, iż tym sposobem przyczyniłby się bardziej do uzdrowienia stosunków polsko-ukraińskich jak całą swą dotychczasową działalnością.

Proponuję założenie w Biuletynie nowej rubryki p. t. „Jak Ukraińcy ugniatają Polaków".

## „GWIAZDKOWA" SATYRA UKRAIŃSKA



Powyżej zamieszczamy karykaturę, przedrukowaną z pierwszej kolumny ukraińskiego „Cyrulika Warszawskiego" — „Żornia". Podpis pod tym miłym obrazkiem brzmi po ukraińsku:

— *„Ważko meni bude distaty sia do ukrainskich ditej, kały meni czort BEREZOJU (brzezina) dorohu zatjanuł".*

Co po polsku znaczy:
— Trudno mi będzie dostać się do ukraińskich dzieci, skoro djabeł drogę do nich zarzucił mi... brzeziną.

## Wyjaśnić sprawę Zapasiewicza.

Często bardzo miałem na tem miejscu (albo raczej na innem ale mocno zbliżonem) sposobność zwalczać Zbigniewa Zapasiewicza oraz jego organizację „Legjon Młodych". Niemniej nie taiłem również wysokiego poważania dla talentu publicystycznego p. Zapasiewicza, błyszczącego nadzwyczainą zwartością i logiką w takich artykułach jak np. słynne „Wskazania Programowe", oraz do jego talentu organizacyjnego. Temu ostatniemu zawdzięczał Legjon Młodych swój żywiołowy wprost wzrost w roku 1933. Na stanowisku przywódcy jednego z największych ugrupowań młodzieżowych, był Zapasiewicz pomimo wszystkiego naszym kolegą i pewnismy byli, że spotkamy go w przyszłości na terenie polityki starszego społeczeństwa.

To jest też powodem dla którego sposób załatwienia „Legjonu Młodych" ze swym dawnym komendantem wydaje się nam conajmniej dość dziwnym i... niesmacznym. Poprostu pisma doniosły, że komisja dyscyplinarna „Legjonu" orzekła wydalenie Zapasiewicza i Szperbera. Niczem jakiś nowoczesny Henryk von Plauen odchodni z Legjonu Zapasiewicz, a organizacja przezeń stworzona nie uważa za wskazane nawet *ogłosić motywów* wyroku, rzucając w ten sposób cień na osobę swego twórcy. Pomijamy już tu wszystkie insynuacje pomieszczone w głośnym artykule „Państwa Pracy" już z samego tytułu nawiązującym do najświetniejszych tradycji kulturalnych tego pisma p. t. „Swołocz bić w mordę". Niemniej sądzimy iż Rzeczpospolita akademicka i młodzieżowa ma prawo domagać się wyjaśnienia jakie były właściwe powody usunięcia przez „Legjon Młodych" swego założyciela, twórcy i ideologa.

Jeżeli to się *stało z rozkazu*, to kogóż nareszcie ta organizacja nie zdecyduje się z rozkazu zdradzić, kiedy zdradziła swego twórcę? Swołocz bić po mordzie.

## „Problemy" na cenzurowanem.

Przed dwoma tygodniami ukazało się nowe czasopismo młodzieżowe „Problemy" Nie wątpimy w dobre chęci wydawcy oraz redaktora. Lecz niestety ubolewać nam przychodzi nad niskim poziomem wykształcenia historycznego współpracowników, a zwłaszcza gruntownej nieznajomości spraw o których piszą. Tak więc.

1. P. Mieczysław Pruszyński pisze iż zamordowanie Matteottiego nastąpiło po roku 1926 gdy każde dziecko F. P. Sowca wie, że Matteottiego zamordowano w maju 1923. Dalej coś tam u p. Pruszyńskiego nie jest w porządku z Hiszpanją, rzekomo od 400 lat (od 1534?) cierpiącą na obojętność obywatela dla państwa. Zapytać by się należało czy ta obojętność występowała i w czasie wojen napoleońskich czy karlistowskich? Aaaa?

2. Anonimowy autor artykułu p. t. „Ropuszki prasowe", coś bzdurzy o Portalisie, który po „4 październiku" założył pismo. Co nastąpiło 4 października? Oczywiście chodzi tu o rewolucję 4 września 1870 roku. Dalej dowiadujemy się od autora, że kapitulacja Metzu spowodowała upadek drugiego cesarstwa. Oczywiście nieprawda, zważywszy, że Metz kapitulował kilka tygodni po definitywnym upadku tego ustroju

3. Rekord ingorancji osiągnął jednak zbyt ruchliwy p. A. M. Bocheński który nie dość że Talleyrand'a Karola Edmunda nazwał Maurycym, ale najwyraźniej pomieszał dwu Potockich Stanisławów. Jenerała poległego 29/XI 1830 roku i ministra także Stanisława, masona i autora „Podróży Do Ciemnogrodu". Gdyby tenże żył pojechałby niewątpliwie do redakcji „Problemów" Narazie tych współpracowników należałoby pozbawić katedr lub posad rządowych jeżeli takowe zajmują

## Najgłupsze zdanie.

„Tygodnik Artystów" pismo o bardzo wątpliwym poziomie, redagowane dla wybitnych artystów o niższem wykształceniu (vide Hitler) ale przy całem swojem bolszewickiem kołtuństwie niepozbawione pewnej niezależności i śmiałości, drukuje w n-rze z 15/XI następujące zdanie p. Polewki. (Mowa jest o „konserwatyzującem działaniu Akademji literatury)"

„Do akademji należy właśnie obrona *klasowego*, społecznego sadła, którego zapach nazywamy także kulturą, a nawet kulturą narodową, także ta (sic!) instytucja stara się uczynić miłym i pociągającym dla niezadowolonego nosa"

Zwłaszcza dla niezadowolonego nosa.... Przypuszczam że Polewka miał na myśli nos redaktora „Tygodnika Artystów". Tego nos musi być mocno spuszczony na kwintę w skutek artykułu Polewki. Z nosem zaś Polewki redaktor „Tygodnika Artystów" ma ochotę zrobić to samo co Mikołaj Stawrogin z nosem prezesa klubu. Ja także.

*Fr. Czerwiski*

**ZMIANA ADRESU REDAKCJI I ADMINISTR.**

**Zawiadamiamy P. T. prenumeratorów i czytelników, że z dniem 3 stycznia biuro Redakcji i Administracji mieści się przy ul. Frascati 18.**


PRENUMERATA:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Rocznie | 6,00 | Kwartalnie | 1,50 |
| (akadem.) | 4,00 | (akadem.) | 1,00 |
| | | Półrocznie | 3,00 |
| Numer pojedyńczy | 30 gr. | (akadem.) | 2,00 |

REDAKCJA
czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11 do 12.

ADMINISTRACJA
czynna codzień prócz niedziel i świąt w godz. 11—12 i 15—17. w soboty do 20.

Ulica Frascati 18. Tel. 9-96-19.

Wydawca: PIOTR DUNIN BORKOWSKI
Redaktor odpowiedzialny: KSAWERY PRUSZYŃSKI

Drukarnia Kooperatywy Pracowników Drukarskich Warszawa, Zielna 47. Tel. 619-57.